WARSZAWA KRAKÓW LWÓW POZNAŃ

BLUSZCZ

№ 4. ROK WYDAWNICTWA LIII. Dnia 26 Stycznia 1918 r.

PRENUMERATA W WARSZAWIE:
Miesięcznie: Mk. 2.15, kwartalnie: Mk. 6.25, półrocznie: Mk. 12.50, rocznie: Mk. 25.

CENA OGŁOSZEŃ: za wiersz 1-o szpaltowy nonparelowy lub jego miejsce „za tekstem": Mk. 1.50; ogłoszenia zwycz. 65 f. „Nadesłane" Mk. 2.50, margines Mk. 18. Kolumna Mk. 360. Załączniki Mk. 40 za tysiąc.

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO . . . Fen. 65.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POŚWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM
Pod redakcyą ZOFII SEIDLEROWEJ

Ekspedycya główna: Nowy-Świat 41.
Drobnych rękopisów nie zwraca się. — Tel. Red. 105-22. Tel. Adm. 220-86.

Prenumerata na prowincyi, w Austryi, Galicyi, w Rzeszy Niemieckiej i W. Ks. Poznańskiem:
Rocznie: Mk. 30, półrocznie: Mk. 15, kwartalnie Mk. 7.50.
W Lublinie „Bluszcz" w biurze dzienników „REKORD" — Kapucyńska 2.
W Krakowie u W-go D. E. Friedleina—Rynek 17.
We Lwowie — w biurze dzienników W-go Henryka Buchsteba — ul. Karola Ludwika 21.

Nowi prenumeratorzy mogą otrzymać początki powieści (22 numery) Izy Bronikowskiej „Sâdhâna" i Leonji Grabskiej „Spętani" za dopłatą 5 marek (50 fen. za przesyłkę).

Prosimy uprzejmie tak miejscowych, jak i zamiejscowych Szan. Czytelników o zwracanie się wprost do Administracyi Bluszczu.

BOLESŁAW ZAHORSKI.

Ex re rocznicy Powstania Styczniowego.

I.

. Znajdujemy śród spuścizny Artura Grottgera obraz — „Dźwiganie Krzyża", w którym — być może, a nawet prawdopodobnie—pomimo woli artysty, zawarty został symbol Polski, tak jak ją rozumiały pokolenia... Symbol ten, którego znaczenie sięga po dziś dzień, do szczytnej wyżyny podniosła epoka emigracyi polistopadowej; niemniej genezy jego szukać należy w pierwszych chwilach załamania się państwowego bytu w Polsce. Pomimo wszystkie jaskrawe różnice warunków, pojęć, a nawet celów, dałoby się z łatwością ustalić wspólny moment w kazaniach Skargi, uniwersale Połanieckim, przedśmiertnych, legendarnych słowach rycerskiego Księcia Józefa, dziełach Towiańskiego, Słowackiego i Mickiewicza, wreszcie enuncyacyach ostatniego dyktatora 63 roku, Romualda Traugutta. Tym wspólnym momentem będzie myśl o posłannictwie Polski, usymbolizowanem w obrazie Grottgera.

Gdy zręby państwowości Polski chwiać się zaczynały, gdy—pozostając jeszcze państwową—Polska traciła z dniem każdym coś ze swojej niezależności, Skarga w płomiennej swej wymowie twierdził, że... *„Rzeczpospolita, ktorąby można z okrętem porównać, ma już blizkie, a dość szkodliwe zakręty swoje, gdy się w rządzie domowym, wewnętrznym pokoju i wspólnej dufności dotąd ukołysać nie może, wszakoż z wyższego masztu pokazują się większe burze, które jej ostatniem niebezpieczeństwem zagrażają"*.

Niebezpieczeństwa „zewnętrzne", przed któremi przestrzegał tu Skarga, przyszły i... okręt zatonął. Zdruzgotany został przez rozbiory byt państwowy Polski. Pozostał jednak krzyż — posłannictwo — idea narodowa, która odtąd jedyną, krwawą drogę miała przed sobą — drogę walki orężnej. Na tę drogę pierwszy odważnie wkroczył Kościuszko. Za nim, utartym już szlakiem, szli długim, ciągnącym się po dzisiejszy poranek szeregiem: Książe Józef, Dąbrowski, Kniaziewicz, Belwederczycy, Józef Zaliwski, Zawisza Czarny, Wołłowicz, Szymon Konarski, ks. Sierociński, ks. Ściegienny, Mierosławski, Dębowski, Teofil Wiśniewski, Krotowski, Heltman, Karol Libelt, Bem, Czajkowski, Mickiewicz, wreszcie bohaterzy *63 r.* od „Łokietka" Dąbrowskiego i Zygm. Padlewskiego do Traugutta i ks. Brzózki i wiele innych jeszcze aż do dn. 6 Sierpnia 1914 i chwili obecnej.

„...O, nieskończona dziejów jeszcze praca
„Jak bryły w górę ciągniecie ramieniem!
„Umknij—a jużci znów na piersi wraca—
„Przysiądź—a głowę zetrze ci brzemieniem..."

Po r. 31-ym Mochnacki przepowiadał nowy przelew krwi w dolinie, przez którą przecieka Wisła, — zaś Mickiewicz wielką wojnę ludów Europy.

Przepowiedni Mochnackiego sądzono było ziścić się w 63 r., Mickiewicza w 1914. Rok *63-ci* staje pomiędzy krwawą kąpielą doby dzisiejszej, a wspomnieniem ostatniej „regularnej" „wojny polsko - rosyjskiej" jak posąg smętny, lecz wzniosły, w którym spiż olbrzymiego męstwa i krew radosnej, z dobrawoli czynionej ofiary stopiły się w oporną, niespożytą, urągającą niepamięci czasów bryłę.

W tym to powstaniu bowiem Polska, pozbawiona cienia samodzielnego bytu, jawi wysokie—wyższe, niż w 31 r. zrozumienie swego posłannictwa dziejowego — jawi takie poświęcenie i takie krzepkie, oporne na wszystkie przeszkody bohaterstwo, że wobec gloryi ich bledną gorycz i ból, powodowane widokiem ciosów i ran zadanych Polsce. Zwycięża cicha radość i przeświadczenie, że kto taką moc rozpętać w sobie i taką wzniosłość wydać ze siebie może—ten zginąć nie może.

Jeden ze znanych historyków słusznie podnosi, że do 63 roku Polska walcząca posiadała, jako punkt wyjścia lub podstawę operacyjną, większy lub mniejszy ośrodek państwowy, niepodległy, z własnym rządem, wojskiem i własnemi instytucyami państwowemi. Tak naprz. Kościuszko miał uszczuploną rozbiorami i dotkniętą gangreną Targowicy, lecz bądź co bądź państwową, a nawet quasi — niezależną Polskę, Książe Józef, Dąbrowski i inni — Księstwo Warszawskie, Belwederczycy—zorganizowaną administracyę, skarb i wojsko Królestwa Kongresowego. W 63 r. trzeba było to wszystko tworzyć lub wydzierać z rąk wrogów. Trzeba było działać w kraju zajętym i zagospodarowanym przez nieprzyjaciela. Trzeba było w warunkach najnieprzychylniejszych, bo w warunkach brutalnego, wrogiego najazdu organizować

przesłanki dla walki, a nawet prowadzić samą walkę. Odrzucony projekt Dąbrowskiego przewidywał owładnięcie Warszawą, co dawałoby w ręce władzy polskiej nicie centralnej administracyi kraju; droga, którą poszło i nieodwołalnie po zamachu styczniowym iść musiało powstanie, jako zdobycz dawała powstańcom peryferye systemu administracyjnego, wszystkie jego nerwy pozostawiając natomiast w ręku przeciwnika. Warszawa—siedlisko tajnego rządu narodowego, lub władzy dyktatora, była zarazem centralą władzy najezdczej i kuźnią zabiegów, mających na celu stłumienie polskiego „buntu".

Wówczas to — w tych ciężkich warunkach walki orężnej, która aż do końca powstania wyjść z podziemia konspiracyi w całości nie zdołała—zastosowane zostały po raz pierwszy nowe metody walki. Jaroszyński, Ryll, Rzońca i inni rozpoczynają seryę aktów samoobrony, po których demonstracye bezbronnego tłumu stają się anachronizmem. Kości zostają rzucone. Odtąd można, albo zaprzestać walki, to znaczy, godząc się z istniejącym stanem rzeczy, pozwolić Wielopolskiemu dla... dobra Polaków „ale bez Polaków" dać przykuć Polskę do Rosyi, zrezygnować z Litwy i cieszyć się z połowicznych, nieszczerych i nietrwałych zdobyczy w wielkiem państwie carów rosyjskich, albo walczyć—ale w takim razie już na ostre; bagnetom i armatom najazdu przeciwstawić pohopnie zgromadzoną broń, ujętą w ręce ofiarne, nie bojące się krwi przelewu. Brutalnej przemocy obcej władzy przeciwstawić niezlękłe serca i piersi hart niepowszedni, bojowy...

Wezwaniem do czynu — dla tych rąk i serc — ostatecznem — była zarządzona przez Wielopolskiego branka. Uciekający przed poborem do puszczy „dzieci Warszawy" rzucili hasło, które stało się hasłem całego sprzysiężenia: — Lepiej krwią swą użyźnić ziemię polską, niż ją przelewać w stepach Kirgizkich! Dzień rozpoczęcia powstania Komitet narodowy centralny rozkazem z dnia 17 stycznia oznaczył na 22 stycznia. Od tej chwili wszelkie wahania się skończyły — zaczynały się masowe utarczki zbrojne.

Józef Piłsudzki w swem cennem dziele: „22 stycznia 1863 r." temi barwnemi słowami, włożonemi w usta księdza Nawrockiego, proboszcza w Huszczy, byłego kapelana drugiego pułku ułanów z r. 1831, jednego z organizatorów dn. 22 stycznia w Podlaskiem, oddaje charakter walki w 63 r.:

„— Hej, nie tak szło się ongiś na wroga! Jawnie, buńczucznie, ze śpiewem wesołym, brzękiem ostróg, furkaniem chorągiewek, w jaskrawych mundurach, na koniach parskających wesoło. Hej! Macieju, teraz na wojenkę wykradać się będziesz, jak złodziej, jak zbój jaki razić będziesz wroga z za węgła, z ukrycia, pójdziesz, jak stoisz przy swej chacie, w siermiędze, a zamiast lancy i pałasza wezmiesz ze sobą pracowitą kosę. Nie zagra ci do boju skoczna i dziarska muzyka, nie będziesz miał tego gwaru wojskowego dokoła, co cię za młodu cieszył i radował. Przekradać się teraz będziesz po lasach i błotach rodzimych jak włóczęga bezdomny, a pieśnią twą będzie smutna, ponura, grobowa nuta tych pieśni żałobnych, co od paru lat w kościołach twej ziemi się rozlega. Lecz bój jest bojem i serce prawego żołnierza rwie się doń, jak młodemu do miłej..." (D. n.).

J. OKSZA.

Młodość Wyspiańskiego

ze wspomnień osobistych.

(DOKOŃCZENIE).

Legionu nie zrozumiano; nawet najbliżsi wzięli go za mesyaniczną literaturę, za jakiś modernistyczny Przedświt — i to zabolało poetę głęboko.

Wtedy odpowiedział wyraźnie, gryzącą, palącą satyrą na całe społeczeństwo— inteligencyę, co się narodowo bałamuci, panów co by już dużo mogli mieć—tylko oni nie chcom chcieć—na posłów, co tylko wizyę poetycką czynu przeczuwają — ale nie rozumieją, że już należy realnie przygotowywać czyn. To wszystko—w przepysznem artystycznem ujęciu rzucił w twarz narodowi w Weselu, kiedy cała Polska współczesna jawi mu się w chacie gospodarza owej nocy listopadowej w roku 1900-tnym. Z Weselem wstępuje Wyspiański w wiek swój męski—wiek klęski— jeżeli chodzi o koleje jego osobistego żywota — wiek trudu ale i tryumfu swego wielkiego dzieła, które wstrząsnęło całem pokoleniem i stworzyło Polskę nową, do nowych ją przygotowując zadań: do Wyzwolenia.

Niebywałe powodzenie „Wesela" na scenie krakowskiej, to piorunujące wrażenie, jakie dramat wywarł na współczesnych, otworzyło Wyspiańskiemu na oścież teatr, tę dziedzinę, w której czuł się panem i twórcą, a którą dotąd nieufnie przed jego śmiałymi eksperymentami zamykała dyrektorska ostrożność. Zdobył szturmem publiczność, zapanował przez teatr nad duszą narodu.

Stało się wtedy nagle coś dziwnego: gorzka ironia „Wesela", ciężkie zarzuty sarkazmem zaprawione nie oburzyły, nie wywołały zgorszenia, wprost przeciwnie zwróciły ku poecie wszystkie oczy i wszystkie serca. Rozpoczęła się między stronnictwami walka o Wyspiańskiego, każdy starał się myśli jego zastosować do swojego rozumienia rzeczy, każdy pochwalić, że je pojmuje prawdziwie, każdy garnąć do tego światła, co nie tylko oświeca, ale i spala zarazem. W koło poety stanął cały szereg ludzi ciekawych, pragnących i jego wybadać i własne przed nim odkryć myśli i przeciągnąć go na stronę tej czy innej partyi.

I wtedy to on, dla którego te rzeczy nie były literaturą, ani artystyczną ułudą, ani igraszką sofizmu, ale najgłębszą treścią życia, rzeczywistością, która niebawem rozegrać się musi na ziemi polskiej— poraz wtóry uniesiony gniewem i bólem rzucił swą odpowiedź:

„Wyście mnie zabić powinni — a wy mówicie, że to przykre". Wtedy napisał w Wyzwoleniu 2-gi akt z maskami, tłomacząc najwyraźniej, że stoi ponad stronnictwami, że nikomu do żadnych celów służyć nie chce i że pełne roztrząsań, wzdychań, bezpłodnych sentymentów marzenia o Polsce uważa za rzecz zgubną, szkodliwą, złą.

Wtedy padło poraz pierwszy to męskie i stanowcze postawienie Sprawy polskiej, że „naród ma prawo istnieć tylko jako państwo", że „musimy mieć wszystko w swoim ręku", że „o naszą krew będzie dbał jedynie własny polski rząd", „bo wszystkie inne będą i być muszą zawsze wobec nas oszustami", wtedy to usłyszeliśmy poraz pierwszy, że te rzeczy są nietylko konieczne i nieodwołalne, ale już blizkie—tak blizkie, że poeta pragnie, by stały się jeszcze za jego życia.

Niestety jednak Konrad przeczuwa, że nie dano mu wyjść poza teatr i sztukę — że jego losem okropnym to kołatanie rozpaczliwe do zawartych drzwi podziemia katedralnego, że na pastwę Erynii wydany czekać musi z poczuciem bezsiły, wśród męki ducha i okropnego lęku o przyszłość, aż o świcie, o zaraniu, wrzeciądze zaskrzypią—uchyli drzwi ktoś—„może wyrobnik, dziewka bosa"—a wtedy on wypadnie z hasłem, z okrzykiem „Więzy rwij!"

Nie dożył poeta—tego momentu świtu, ale jego to dzieła sprawiły, że tych drzwi ku Wyzwoleniu, nie uchylał przypadek, ale skupiona wola najlepszych synów narodu, on to sprawił, że nie „ktoś o zaraniu, nie dziewka, nie wyrobnik" do wrót niewoli zakołatał, ale je wyważył—swego obowiązku świadomy, bohaterski, do ostatniej kropli krwi wierny — żołnierz polski.

STEFANJA BOJARSKA.

Nauczyciel ludowy jako społecznik.

(CIĄG DALSZY).

Pozatem, społecznik polski musi być typem wiecznego samouka; kształcić się on będzie nieustannie, a naukę czerpać ze wszystkich zdrojów. Najmędrszym w oczach jego nauczycielem będzie samo życie, a z ludzi wszyscy żywi, i umiejący myśleć samodzielnie rodacy. Na ostatnim planie, ten typ ludzi, stawia naukę poczerpniętą ze szkoły i książki, choć ceni właściwie i jedną i drugą.

Społecznik twórczo i wydajnie pracujący nieraz i po 18 godzin na dobę, dla pospolitego dobra, będzie sobie zdobywał od czasu do czasu dłuższy odpoczynek, by go zużytkować na planowe krajoznawcze wycieczki.

Takie wycieczki będzie on odbywał przedewszystkiem tam, gdzie bije żywem i natężonem tętnem życie społeczne, gdzie jego koledzy poczynili już pewne nowe

doświadczenia i osiągnąć zdołali duże rezultaty. Tam on jeździć będzie, aby na takich przykładach dopełnić braki swego społecznego wykształcenia, aby bogacić zapas swej wiedzy praktycznej, aby w cudzej pracy podpatrzyć zalety lub błędy, których we własnej działalności nie mógł dojrzeć.

Po takiej wędrówce, która nie była dla niego niczem innem jeno poglądowym kursem nauk społecznych, z odświeżoną i wzbogaconą myślą, z nowym zapasem nagromadzonej energii, staje on wypoczęty, rzeźki, wiarą i tężyzną promienny, do zwykłej, codziennej pracy.

Po czem poznawać można, że dana jednostka pracująca społecznie od dłuższego czasu, bardzo wydajnie i sprawnie, doszła do szczytu swego wyrobienia społecznego? Poznać to możemy po dużej pewności i wielkiem zrównoważeniu takiej jednostki, po nabytej doświadczeniem umiejętności wyrabiania drugich na pożytecznych i sprawnych działaczy społecznych.

I teraz, gdyśmy omówili w ogólnych zarysach sylwetkę nowożytnego działacza społecznego polskiego, zastanówmy się chwilę nad tem, czy jest rzeczą możliwą przygotować słuchaczów seminaryów dla nauczycieli ludowych, na takich działaczy społecznych, o jakich mówiliśmy powyżej.

Odpowiadamy, że jest to zupełnie możliwe, pod warunkiem, że seminaryum takie będzie działało na powierzoną sobie młodzież w kierunku uspołeczniającym i obywatelskim w sposób określony i celowo zmierzający do osiągnięcia takich, a nie innych rezultatów.

Szkoła mająca wychowywać narodowi nauczycieli ludowych, przygotowanych do podjęcia prac, spełnianych przez polskich społeczników z powołania (a tylko takich mam tu na myśli), musi być szkołą samorządu i obywatelskiego życia. Tylko z takiej uczelni mogą wyjść jednostki zdolne do podjęcia pracy tak wielkiej i trudnej, tyloma przeszkodami najeżonej, jaką jest u nas poważnie pojmowana działalność społeczna.

Ale po za ogólną wysoką atmosferą moralną, jaką w takiej szkole oddychać winna młodzież, przygotowywana na przyszłych apostołów dobrej nowiny dla wsi polskich, w programie takiego seminaryum, poważne miejsce powinny zajmować nauki społeczne, tak ujęte i przedstawiane, aby budziły chęć gorącą w słuchaczach zostania kiedyś pracownikami społecznymi.

Nauki społeczne wykładane w seminarjum dla nauczycieli szkół ludowych winny dawać oprócz teoryi zaokrągloną sumę wiedzy z dziedziny społecznej, niezbędną dla wiejskiego działacza społecznego.

Czy możliwą jest rzeczą już dzisiaj, uczyć słuchaczów seminaryów ludowych, jak mają oni pracować społecznie, gdy się znajdą rozrzuceni po wsiach i miasteczkach naszej prowincyi? Odpowiem, że jest to możliwe, ponieważ mamy już pomiędzy sobą społeczników teoretycznie wykształconych, a zarazem praktyków, umiejących jednocześnie władać słowem żywem i drukowanem.

Na podstawie tego, co niektórzy z tych ludzi wiedzą i tego, co ogłosili już drukiem, można z łatwością opracować bogaty w cenne wskazówki i pouczenia kurs praktycznie ujętej pracy społecznej, przystosowanej do potrzeb polskiej wsi, polskiej prowincyi nawet.

A skoro mamy i materyał do takich kursów i ludzi, którzyby w seminaryach ludowych wykłady takie miewać mogli, trzeba pójść dalej i zwrócić uwagę tych, którzy z natury swego przeznaczenia w krajowej organizacyi szkolnej mają głos decydujący w opracowywaniu i uzupełnianiu programów szkolnych przez takie wykłady, o jakie wielkim głosem woła życie polskie.

A dalej potrzeba uświadomić ogół naszego społeczeństwa o tej prawdzie oczywistej, że bez nauczyciela - społecznika, długo, długo jeszcze wieś polska będzie grzęzła w bezwładzie, ciemnocie i występku, że nikt tak skutecznie i prędko, jak nauczyciel ludowy nie potrafi tej wsi zmienić na światłą, moralną i ruchliwą w znaczeniu dodatniem.

Ponieważ od szybkiego podniesienia się wielomilionowych mas ludowych na wyższy poziom kultury, uspołecznienia, uświadomienia narodowo - obywatelskiego i zorganizowanego życia zbiorowego, zależy przyszłość całego Narodu, więc skoro z tego stanowiska spojrzymy na przygotowanie nauczyciela ludowego do podjęcia olbrzymiego zadania odrodzenia wsi polskiej, to kwestya odpowiedniego przygotowania tego nauczyciela, do podjęcia tego wielkiego zadania, stanie się dla nas jasną jak słońce i zarazem nabierze pierwszorzędnego znaczenia. Nauczyciel ludowy w warunkach, w jakich my się znajdujemy, musi być nietylko wychowawcą dziecka wiejskiego, ale i jego rodziców i dorosłego rodzeństwa, co więcej musi on być nieraz jedynym, umiejętnym, a mądrym i przewidującym wychowawcą całej wiejskiej gromady, jej doradcą stałym, jej sumieniem w trudniejszych, bardziej zawiłych sprawach.

Nauczyciel musi wychować rodziców tak, aby ci po za szkołą, w obrębie domu rodzinnego nie paczyli tego, co on w szkole dobrego zrobić zdoła, aby wobec dziecka nie popełniali jaskrawych wykroczeń przeciw moralności i t. p.

Nauczyciel musi pouczyć matkę dziecka, które uczy, o podstawowych zasadach hygieny i pedagogii.

Musi on tych rodziców swoich uczniów nauczyć stałego interesowania się szkołą, musi w nich wpoić przekonanie, że szkolny budynek, to wspólna gromadzka własność, a jako o taką dbać o nią należy w niemniejszym stopniu, jak o potrzeby kościoła.

Dziecko, chodzące do szkoły i pracujące umysłowo, nie może być po powrocie ze szkoły, przeciążone pracą fizyczną i o tem nauczyciel powinien pouczyć rodziców.

A o tem wszystkiem, co rodzice powinni wiedzieć, aby mogli uczciwie i po chrześcijańsku wychować swe dzieci i co powinni oni wiedzieć o swych obowiązkach wobec nauczyciela i szkoły, mają się oni dowiadywać na stałych w oznaczonym terminie odbywających się zebraniach rodzicielskich w szkole.

Ale nauczyciel ludowy społecznie wykształcony, to nietylko wychowawca dziatwy i jej rodziców, to wychowawca, doradca i dobry duch całej wiejskiej gromady, wśród której pracuje i zmiany pożądane wprowadza. Potrzeby tej gromady, musi on poznawać wszechstronnie, musi zbadać charaktery i przyrodzone skłonności ludzi, którzy go otaczają, aby z czasem przystąpić do umiejętnego wychowywania tej gromady półbarbarzyńców, na nowoczesnych ludzi umiejących żyć z sobą w bratniej zgodzie, spełniać sumiennie ten zakres obowiązków obywatelskich, jaki na nich spada, oraz umieć bronić praw, jakie są ich udziałem.

Nauczyciel społecznik będzie zaczynał swoją działalność od rzeczy najłatwiej-łatwiejszych, a stopniowo będzie przechodził do bardziej złożonych, o ile chodzi o włościan starszych; najpierw założy z nimi Kółko rolnicze, a potem różne spółki i stowarzyszenia kredytowe organizować z nimi będzie. O ile o kobiety chodzi, to najpierw założy z nimi kółko ziemianek, a potem, gdy się już nieco wprawią w życie organizacyjne, pociągnie je do udziału w istniejących stowarzyszeniach, założonych przez mężczyzn, zachęci je do brania udziału w kursach ogólno-kształcących i rolniczych, a z czasem pobudzi je do starania o zorganizowanie kursów, uwzględniających potrzeby kobiety-obywatelki, kobiety matki, żony i gospodyni.

Nauczyciel społecznik, organizując starszych gospodarzy i gospodynie, nie zapomni o młodzieży starszej. Przeciwnie, baczną i troskliwą opieką, otoczy on tę przyszłość wsi.

(D. c. n.).

KRONIKA MUZYCZNA.

Koncerty w listopadzie i grudniu: Muzyka kameralna: wieczory p. Pulmana i p. Binentala. Wanda Landowska. Sonata skrzypcowa Wertheima. Oratorium Haydna. Chór „Dzieci Powiśla". Koncerty wirtuozów.

Koncerty kameralne, urządzane przez p. Pulmana w sali Hermana i Grosmana, przybrały charakter instytucyi stałej, mającej poważne znaczenie artystyczne: odbywają się regularnie co dwa tygodnie, przynosząc za każdym razem interesującą muzykę w dobrem wykonaniu.

O pierwszym z tych koncertów, obejmującym dzieła Cezara Francka i Wincentego d'Indy, pisałem w październiku. A oto programy następnych:

II. Mozarta kwintet klarynetowy, Beethovena septet oraz pieśni szkockie i irlandzkie (p. Matylda Lewicka Polińska). III. Muzyka kompozytorów polskich: Różyckiego kwintet fortepianowy, Brzeziń-

skiego sonata skrzypcowa i Szymanowskiego pieśni (p. Comte-Wilgocka). IV. Powtórzenie kwintetu Mozarta, 4-ta sonata skrzypcowa Beethovena i sekstet smyczkowy Arnolda Schönberga. V. Wieczór Brahmsa: kwintet fortepianowy, sonata skrzypcowa A dur i kwintet klarynetowy.

Z przeglądu tego widać, że p. Pulman w układaniu programów stara się uwzględniać wszelkie epoki, kierunki i narodowości; bo też nieprzebranie bogaty jest skarbiec muzyki kameralnej — tak mało niestety u nas znanej. Któż np. z naszych melomanów wie o tem, że Verdi napisał śliczny kwartet smyczkowy, którego wykonanie najmocniej p. Pulmanowi polecam? A jakże cudny jest kwartet Smetany („Z mego życia“)! Możnaby urządzić wieczory muzyki włoskiej, czeskiej, rosyjskiej, skandynawskiej i t. p. A wreszcie szczyt wszystkiego—kwartety Beethovena, któremi sześć wieczorów zapełnić można! Niezbyt wielką jest dotychczas w Warszawie liczba miłośników tego najsubtelniejszego, najwykwintniejszego rodzaju muzyki; mam jednak nadzieję, że stale powiększać się będzie, a co więcej, że w kółkach prywatnych powstaną komplety, uprawiające muzykę kameralną; gdyby setna część tylko tych „kwartecistów“, którzy „grywają“ po kilka razy na tydzień przy zielonym stoliku, uprawiała muzykę kwartetową, to moglibyśmy uważać się za społeczeństwo wyjątkowo muzykalne,—ale do tego potrzeba, aby więcej ludzi miało pojęcie o tem, jak szczytnych rozkoszy dostarcza dobra muzyka tym, którzy ją rozumieją, — potrzeba reformy wykształcenia muzycznego.

Wieczory muzyki kameralnej o bardziej specyalnym charakterze urządza też od paru lat p. Leopold Binental, wyborny znawca „starej muzyki“ i zbieracz zabytków muzycznych; treść tych koncertów stanowią utwory kompozytorów XVII i XVIII wieku. W bieżącym sezonie odbył się dopiero jeden taki wieczór, bardzo interesujący: Händel (1685—1759), Filip Emanuel Bach (1714—1788) — syn wielkiego Jana Sebastyana,—Stamitz (1717—1757) — twórca nowego stylu w muzyce instrumentalnej — i Fryderyk Wilhelm Rust (1739—1796) — oto nazwiska mistrzów, których utwory obejmował program. Solistą wieczoru był Henryk Melcer, który tak świetnie wykonał „stare“ sonaty F. E. Bacha i Rusta, jak gdyby się specyalnie temu rodzajowi muzyki poświęcał.

Znaną i uznaną w szerokim świecie specyalistką „od starej muzyki i klawicymbału“ jest Wanda Lewandowska. I jej zawdzięczamy jeden wieczór kameralny (5 grudnia) w Filharmonii, na którym usłyszeliśmy sonaty skrzypcowe Bacha, Leclaira, Couperina i Mozarta z akompaniamentem klawicymbału i fortepianu. Na skrzypcach grała p. Joachimowa—synowa wielkiego skrzypka, — która towarzyszy obecnie p. Landowskiej w jej podróżach artystycznych, nie jest jednak bardzo wybitną wirtuozką; jej mały ton ginął prawie w wielkiej sali Filharmonii; to też największe powodzenie miały produkcye solowe Landowskiej na klawicymbale.

Skoro mówimy o muzyce kameralnej, pospieszmy zanotować z radością, że nasz dorobek twórczy w tej dziedzinie powiększył się świeżo o jedno dzieło bardzo wartościowe: dziełem tem jest sonata na fortepian i skrzypce Juljusza Wertheima, którą usłyszeliśmy na wieczorze sonat (d. 9 grudnia w sali Hermana i Grosmana), wykonaną z manuskryptu przez pp. Mackebena i Kulenkampfa-Posta, dwuch młodych niemców, odbywających służbę wojskową w Warszawie; dodajmy zaraz, że obaj są wybornymi muzykami i wirtuozami i że piękne dzieło Wertheima wykonali z prawdziwym zapałem i pietyzmem.

Koncerty symfoniczne w Filharmonii dostarczyły też niemało dobrej muzyki; na szczególną zaś uwagę zasługują popołudniowe koncerty niedzielne, poświęcone wyłącznie dziełom Beethovena; takich koncertów ma być dziewięć, a każdy obejmie jedną symfonię i inne utwory instrumentalne i wokalne.

„Stworzenie“ Haydna, którego pierwsze wykonanie w październiku było tak nieudane z powodu zasłabnięcia p. Lewickiej, powtórzono w Filharmonii dwukrotnie z udziałem p. Lewickiej i pp. Dobosza i Wierzbickiego, jako solistów. Ostatnim razem objął batutę p. Birnbaum i całość poszła już bardzo gładko. Zasługa przygotowania chórów do tego arcydzieła pozostaje przy p. Kazurze. Po „Stworzeniu“ powinna publiczność warszawska poznać cały szereg wielkich dzieł wokalnych dawnych i nowszych mistrzów; ta dziedzina muzyki leżała u nas dotychczas odłogiem; miejmy nadzieję, że odtąd będzie starannie uprawianą.

P. Kazuro przedstawił nam znów d. 16 grudnia swój chór „Dzieci Powiśla“, którego wybornem wyćwiczeniem zachwycaliśmy się w ubiegłym sezonie. Chór ten pozyskał już sławę u naszej publiczności i zdobył zasłużone wawrzyny dla swego przywódcy. Wkrótce po koncercie biedne dzieciaki poniosły ciężką stratę przez śmierć swej niezrównanej opiekunki, p. Konopczyńskiej. Oby znalazł się ktoś, coby z równem sercem i poświęceniem zaopiekował się tą szkółką, tak potrzebną i tak wzorowo dotychczas prowadzoną.

O wszystkich występach wirtuozów niepodobna pisać; wymienię tylko najwybitniejszych. Fortepianista Bachhaus grał w Filharmonii dwukrotnie z orkiestrą i wykonał koncerty Beethovena i Brahmsa. Panna Familierówna grała jednego wieczoru dwa koncerty fortepianowe: St. Saënsa i Melcera z iście męską brawurą. Ze skrzypków wymienimy Barcewicza, Hubermana, Kulenkampfa i Holcmana. Na zakończenie swych występów w operze p. Ada Sari (Szajerówna) urządziła koncert pożegnalny w Filharmonii (13 listopada), na którym wykonała z towarzyszeniem orkiestry najsławniejsze i najtrudniejsze arje koloraturowe z różnych oper, budząc podziw swą bajeczną techniką. Artystka opery p. Argasińska dała nam się poznać jako przewyborna pieśniarka na 2-ch „wieczorach pieśni“ (w sali Hermana i Grosmana), których bogate i piękne programy sama jedna wypełniła, zdobywając gorące oklaski. Znana już z ubiegłego sezonu wiedeńska śpiewaczka koncertowa p. Heim dała znów dwa „wieczory pieśni“, zachwycając tłumnie zebraną publiczność swą piękną interpretacyą. Wspomnijmy jeszcze, że w koncercie beethovenowskim w Filharmonii solistką była p. Lewicka a w wagnerowskim p. Kaftalówna, że słyszeliśmy na estradzie pp. Strokowską, Rakowiecką i Cygańską, i zakończmy tem treściwy przegląd koncertów z dwumiesięcznego okresu.

Fr. Brzeziński.

NOTATNIK LITERACKI.

p. D. Chantepie de la Saussaye: Historya religii, podług drugiej edycyi francuskiej opracował A. L.

Firma wydawnicza Orgelbranda i S-ki na te czasy wojenne podjęła wydawnictwo dzieła, które nie ma nic wspólnego z wojną i ucieka treścią w przeszłość ludów zamierzchłą. Jest niem *Historya religii* Chantepie de la Saussaye'a, owoc streszczony ostatnich wyników badań naukowych nad religią. Opracowanie tego dzieła po polsku wydawcy powierzyli znanemu poecie i erudycie, Antoniemu Langemu. Wyszedł obecnie pierwszy tom, zawierający analizę religii ludów dzikich, Egiptu, Asyryi i Babilonu, Syryi i Fenicyi, żydowskiej i mahometańskiej. Resztę religii świata aż do Słowian i Litwy włącznie obejmie tom drugi, który ma się ukazać w ciągu roku bieżącego. Książce można by zarzucić, że, jak dla przeciętnego czytelnika, za mało ma charakteru syntetycznego i uogólniającego, jest od brzega do brzega przeładowana tysiącem nazw i szczegółów, cennych, oczywiście ze stanowiska archeologii i materyału analitycznego, nie odbudowujących, jednak w umyśle czytelnika istoty i ducha poszczególnych religii.

Jest ona przeto raczej rodzajem *compendium* czy *repetitorium* dla uczonego badacza, w skrócie zwartym, przedstawiającym mu dotyczasowy materyał naukowy, niż popularnym podręcznikiem historyi religii. Dobrym natomiast pomysłem wydawców było opatrzenie książki mnóstwem ilustracyi (których nie ma w tekscie oryginalnym), przeważnie reprodukowanych z fotografii zbiorów muzeum Guimet'a w Paryżu, co wielce urozmaica zwartą niemiłosiernie treść. Książka ta, bądź co bądź, wypełnia niejako lukę naszą w tej dziedzinie wiedzy. Opracowanie pod względem językowym staranne—z zamiłowaniem pełnione.

Józef Jankowski.

„Godziny płynące“.

Skoro młody poeta w swych pierwszych pracach ukazuje własną fizyonomię— jest już na właściwej drodze. Oczywiście

na to zdobywa się tylko prawdziwa szczerość, którą nie zawsze należy utożsamiać z indywidualnością, jako czemś wyższem, czemś co zarysowuje odrębne oblicze autora — szczerość zazwyczaj pokazuje nam fizyonomie jasne i wyraźne, lecz mniej lub więcej spotykane. Indywidualność musi być szczerą—człowiek szczery, nie zawsze jest indywidualnością. Jedno jest przecież pewne, że każdy talent opiera się o nią i bez niej istnieć nie może.

Najlepiej dowodzą tego ci, którzy kłamią uczucia i idee t. zw. poeci aktualni, którzy zawierają lub zawarli kompromis z obcą im zupełnie ideologią dziennika czy innego czasopisma. Jakże są niepoetyczni, jak na każdym kroku czuje się ich anemiczną sztuczność...

O p. Melcerównie, młodej poetce, która ogłosiła drukiem „Godziny płynące“ tego powiedzieć nie można. Ma ona jasne i zdecydowane oblicze. Jest kobietą, więc opiewa duszę kobiecą i miłość. Czyni to nie chcąc pozować na nic—chce być sobą i może właśnie dlatego pozuje niekiedy na siebie, na swoją młodą zachłanność. A że robi to szczerze, więc płynące stąd czasem naiwności można jej wybaczyć, zwłaszcza, że p. Melcerówna rokuje prawdziwe nadzieje.

W miłości p. Melcerówny drga często nuta beztroskiego hellenizmu. Jest to zrozumiały objaw młodości, zmącony przecież, gdy przychodzą chwile, kiedy poetka odwraca się odeń, staje się sceptyczną a przez to perwersyjną i smutną.

Modernizm w pojęciu atawistycznego chrześcijańskiego systemu myślenia nie pozwala jej na młody i zdrowy śmiech, mogący tylko płynąć z beztroskiego cieszenia się zmysłami i duszą. I p. Melcerówna śmieje się cichutko z urazą i chłodną złośliwością.

Taką jest jej fizyognomia wewnętrzna, urabiana poniekąd przez wpływy literackie, bo i ten motyw czuje się wyraźnie. Wogóle indywidualność poetki zarysowuje się jeszcze mgliście. Oczytana, inteligentna, posługująca się klasycznymi wzorami, ujmuje rzeczy z wdziękiem, z ładnym gestem, ale nie sięga jeszcze do dna; wobec tego wiersze jej doskonałe często *formalnie*, choć pieszczą ucho niezmąconym rytmem, barwnością metafor, nie wywołują jeszcze zasadniczych przeobrażeń, które wywołać będzie zdolna, gdy stanie się naprawdę wybitną indywidualnością.

Zadatki na to są widome i nie należy wątpić, że następna książka p. Melcerówny poza obecnemi walorami pogłębi się a przez to będzie piękniejsza od dzisiejszej, nie pozbawionej dużej wartości.

Alfons Dzięciołowski.

Z. MORAWSKA.

A drzewa szumiały...

Obrazek z r. 1863.

I.

Na jednej z odległych ulic miasteczka, w niskim parterowym domku u imci pana Jakóba Werczaka, kowala z profesyi, zebrała się gromada ludzi. Izba, jakkolwiek niska, była obszerna, a jednak ledwie tych gości mogła pomieścić.

Przywarte okiennice a prócz tego okna zasłonięte grubemi chustami, oraz przyciszone rozmowy dowodziły, że nie życzono sobie, żeby światło było widoczne a głos dochodził na zewnątrz.

I nic dziwnego.

Był to bowiem 22 stycznia 1863, a na 23 w nocy był oznaczony w całym kraju pobór do wojska.

Imci pan Jakób Werczak, prócz siedemnastoletniej córki Ewy i piętnastoletniego Michałka, miał jeszcze syna Walentego, Stacha czeladnika i dwóch terminatorów w wieku popisowym.

Prócz tego pan Jakób był wielce poważanym w całem mieście i okolicy, a też spokrewniony z wszystkimi sławetnymi w miasteczku.

Nic więc dziwnego, że każdy chciał się z *familiantem* pożegnać i błogosławieństwo wziąć na drogę. Kobiety zbiły się w alkierzu, lecz o dziwo, i one milczały. Niejedna tylko otarła ukradkiem łzy z oczu lub przytłumionem westchnieniem dawała ulgę wezbranemu sercu.

Ewa zaś coraz ciekawiej drzwi do wielkiej izby uchylała, aż spostrzegł to Stach, czeladnik jej ojca, podszedł dyskretnie i wziął ją za rękę.

— Nie zapomniszże o mnie, Jewka, nie zapomnisz?—pytał, ściskając jej rękę.

— Nie zapomnę, nie!—będę się za ciebie modliła — odrzekła dziewczyna, oddając mu uścisk gorący.

— Jakbyś zabaczyła, to... — szepnął namiętnie Stach i jeszcze goręcej uścisnął jej rękę, przyciągając jednocześnie do siebie.

— Co wy tam szepczecie? czyście się na zaloty zebrali? — fuknął głos pani Jakóbowej.

Dziewczyna cofnęła się do alkierza, Stach wrócił do izby, gdzie się spotkał z gromiącym wzrokiem imci pana Werczaka.

Ten zaraz zwrócił się do zebranej młodzieży:

— A pamiętajcie jeno, że wojna to nie zaloty i nie zabawa, a jeszcze i taka, co kryć się z nią trzeba, a jeszcze i taka, co z w niej wszystkiego zabraknąć może. W lesie, to nie w ciepłej izbie, i nie przy pełnej misie; i głód i chłód doskwierać będzie, a za każdym chojakiem kryć się może nieprzyjaciel; a schwytanemu śmierć grozi niechybna, albo gorsza od śmierci zsyłka i katorga. Więc jeżeli kto nie czuje się na siłach, niech lepiej nie chodzi, — niech czeka doma, aż go w szynel odzieją, łeb ostrzygą i do wojska moskiewskiego zapędzą.

Chwilę odetchnął jakby czekał odpowiedzi, — cisza jednak była zupełna; taka cisza, że bodaj można było wyczuć przyspieszone bicie serca zebranych.

— I to jeszcze wam powiadam, że wstydby mnie było, gdyby który z mego domu wyszedłszy, nie dotrzymał tego, co sobie zamierzył.

— Boga mi, dotrzymamy, tak nam Panie Boże dopomóż i Matko Najświętsza!— zerwał się szept ze wszystkich piersi.

Wtem wbiegł Michałek i obejmując ojca za kolana mówił:

— Pozwólcie, tatusiu, i mnie z nimi!...

A jeszcze ojciec nie zdążył odpowiedzieć, gdy wbiegła matka i, załamując ręce, zawołała:

— Nie pozwalajże temu waryatowi, toć to jeszcze dzieciak! Dość już jednego...

— Cicho kobieto! nie rób hałasu, gotów kto podsłuchiwać... Mogłaś go pilnować, żeby tu nie wchodził, albo spać napędzić...—dodał.

Ale kobieta, miasto się uspokoić, szlochać poczęła.

— Cicho!—ofuknął raz jeszcze pan Jakób.— Skaranie Boże, gotowa jeszcze naprowadzić i wszystko popsuć!

— Do alkierza z nim! — zawołał groźnie, ruszając wąsami.

A chociaż było to szeptem, znać do posłuchu i syn i matka byli przyuczeni, bo ta, ciągnąc za sobą Michałka, zniknęła za drzwiami.

Wtem zapukano do okiennicy. Pukanie umówione, nikt się więc nie stropił, a pan Jakób poszedł drzwi otworzyć.

Jakoż wszedł zaraz Xiądz Madura, a z nim dwóch średnich lat mężczyzn, w krótkich kożuszkach, wysokich butach, a wyglądających z waszecia.

— Komu w drogę, temu czas—szepnął Xiądz.

— Na Xiędza dobrodzieja tylkośmy czekali—odszepnął gospodarz.

— Dalej w Imię Boże — odrzekł przybyły.

I przeżegnawszy się zaraz zawrócił.

W jednej chwili opróżniła się izba.

Wyszły też i kobiety drugiemi drzwiami z alkierza, a chroniąc się pod domami, podążały, wzdychając, każda do siebie. Niejedna łzę ukradkiem otarła, inna szeptała pacierze.

Mgła gęsta, zwiastująca odwilż, okryła je, jak kryła i podążających po kilku przez pole do znanego sobie gęstego lasu.

W domu Jakóba Werczaka zgasło skąpe światło,—zaległa cisza.

Mieszkańcy legli na spoczynek. Werczak wszakże wychylał głowę co chwila z pod pierzyny i nasłuchiwał. Werczakowa zaś przeciwnie, nakryła się z głową i mruczała coś gniewnie. W drugim końcu alkierza Michał przewracał się i układał sobie coś w głowie.

Jewka cicho popłakiwała.

II.

Pan kapitan Iliarow, lekarz wojskowy i cały jego sztab przyboczny, po godzinie 12-ej w nocy z 22 na 23 stycznia, postanowił spełnić rozkaz i wyłowić w miasteczku wszystką młodzież, będącą w wieku popisowym.

I oto wśród onej mgły nocnej ciche miasteczko wyczuwało miarowy pochód piechoty, nietylko w głównym rynku lecz i najbardziej oddalonych uliczkach, rozchodzących się jak od tułowia nogi pajęcze.

— Złowimy ich, napewno złowimy! — mówił do siebie szanowny komendant. — Jeżeliby zaś który, to...—Zrobił charakterystyczny ruch ręką ku kieszeni i uśmiechnął się znacząco.

Toż samo myślał i lekarz wojskowy, idąc po grzęzkim śniegu.

Zapukano do pierwszego lepszego domu i rozszedł się gromki głos:

— Otwieri!

— Zaraz, zaraz! — odpowiedział głos rozespany.

— Gdzie wasz syn?!—krzyknął komendant.

— Syn? — odpowiedział dobrodusznie gospodarz.

— Nie wiem, o którego jewo prewoshoditielstwo pyta?—dodała małżonka.

— *Kotoryj nibud', wsie!* — odkrzyknął komendant groźnie.

— Jeden jest w szkole felczerów w Warszawie, drugi ożeniony siedzi na gospodarce w Wyzinach, trzeci też żonaty ale biedę klepie, czwarty jest w Szreńsku stolarzem, także ożeniony, piąty śpi oto w łóżeczku podle pieca, no i dwie dziewuchy,—jedna piętnaście, druga dwanaście lat,—śpią tam w alkierzu...

Pan komendant zaklął, wszedł jednak do alkierza, ażeby sprawdzić, czy nie ukrywa się tam jaka męzka dusza. Dziewczęta, rozbudzone, spojrzały przestraszonemi oczyma i schowały się coprędzej pod pierzynę.

Komendant zaklął i zagroził:

— Niechaj się stawią synowie, bo dziś branka!—rozumiecie!

— Rozumiem, ale ja ich szukać nie będę... oni stąd wymeldowani — odrzekł ojciec z najzupełniejszym spokojem.

Komendant zapisał sobie, gdzie który z synów mieszka, trzasnął drzwiami i odszedł. Przetrząsł jednak pierwej podgórek, chlewki i całe podwórze, a nie znalazłszy nikogo poszedł dalej.

Rodzice pięciu synów, spojrzawszy na siebie, westchnęli i zgasiwszy łojówkę spać się napowrót ułożyli.

(D. c. n.).

ZOFJA R. NAŁKOWSKA.

Sielanka.

(CIĄG DALSZY).

III.

Nie przeszło i dwóch miesięcy, kiedy dom stanął pod dachem. Dom!—*c'est une façon de parler*. Raczej zaledwie coś domowatego, chałupka na kurzej stópce. Na wierzchu dach z czarnej tektury, od przodu malutki ganek na dwuch palikach—weranda, jak powiedziała pani Dziobakowa.

Tak. Należy wyznać, że zawarłyśmy tę znajomość, nie bacząc, czy nie postępujemy czasem lekkomyślnie. Ale czyż może nie być lekkomyślną młodość?

Biegłyśmy wtedy po owej drodze granicznej wyciągniętym kłusem, wrzeszcząc dość niedyskretnie. W ten sposób dawałyśmy wyraz radości, wynikłej z otrzymania nowych lejców. Lejce były z taśmy czerwonej, obwieszone małemi dzwonkami. Uciecha mogła się była wydawać przesadna tylko komuś, kto nie rozumie, co to znaczy obywać się zamiast lejców zwyczajnym szpagatem.

Biegłyśmy tedy ową drogą, jakgdybyśmy już rzeczywiście wcale nie mogły gdzieindziej bawić się w konie.

Pani Dziobakowa znajdowała się właśnie pod tę porę przed domem i ryła w błocie małe, kręte ścieżki swego przyszłego ogródka.

Osadziłam konia i zagadnęłam taktownie;

— Dzień dobry pani. To pani tu będzie mieszkała?

Rozmowa potoczyła się gładko. Pani Dziobakowa była osobą otyłą i niemłodą, ale głowa jej zachowała dawną piękność rysów. Z krótkiego opowiadania dowiedziałyśmy się o dawnej familijnej świetności. Państwu Dziobakom dobrze się kiedyś działo, mieli restauracyę na Zielnej, gości porządnych, cztery córki i trzech synów. Ale jaki majątek temu nastarczy: w jeden rok wyprawić dwa wesela i trzy pogrzeby. Naprzód umierały córki, później synowie. Brat pani i teraz jest bogaty, też trzyma restauracyę, syna posyła do gimnazyum, ale bogatemu nic do biednego, trzeba swojemi dziesięcioma palcami się obrabiać. Teraz mąż jest w żelaznej fabryce, ona tu. Oto wszystko, co na razie można było ustalić.

Wróciłyśmy do domu, owiane niejaką tajemniczością, pełne zadumy. Miałyśmy już poza domem nasze własne stosunki.

Nie mogę nie wspomnieć w tem miejscu o szczególnem postępowaniu Burka. Wobec tej doniosłej zmiany, jaką zjawienie się sąsiedztwa wprowadziło do naszego trybu życia, Burek zachowywał się opornie i, aby tak rzec, negatywnie. Nierzadko można go było znaleźć na samym krańcu naszych posiadłości. Siedział na wale i monotonnie szczekał w próżnię. Okazało się jednak, że szczekał tak na panią Dziobakową, która, nie przywiązując wagi do Burka animozyi na odległość, grzebała rydlem w błotnistym swoim ogródku. Wysokie, okrągłe klomby, powstałe na skutek głębokiej erozyi ścieżek i brzegami odarniowane, wyglądały trochę, jak świeże groby. Podobieństwo zwiększyło się jeszcze, gdy wyrosły na nich gęsto bujne, wysokie kwiaty.

Pani Dziobakowa zaopatrzyła się wkrótce we własne zwierzęta. Na szczekaninę Burka odpowiadał teraz płaczliwie mały szczeniak, wielce anemiczny i chorowity, uwiązany na szpagacie do gwoździa w ścianie i często bity za to, że za dobry i żeby szczekał. Robił tedy, co mógł, skowyczał i warczał, chorował na żołądek, nudził się i ogromnie martwił całemi dniami. Niczem nie można było zmiękczyć jego losu. Gdy raz, ujęty naszemi miłemi słowy, machnął weselej ogonem i na chwilę przestał się irytować, odrazu dostał za to bicie. Zapomniałam powiedzieć, że nazywał się Trezor.

Drugiem zwierzęciem był młody kot, czarny bardzo i taki chudy, że w biały dzień robił wrażenie widma. Chodził na swych nogach, cienkich, jak patyczki, trwożliwie i ostrożnie, zupełnie jak ta syrena u Andersena, której ogon zamienił się na nogi, ale pod warunkiem, że każdy krok będzie ją okropnie bolał. I nawet tak wciąż miauczał przerywanie i cicho, jakby postękiwał.

Pani Dziobakowa skarżyła się na niego, że nie łapie myszy, ale był pewnie za mały i zresztą może w takim nowym domu myszy jeszcze nie było. Mówiła nam też, że jest bardzo nienasycony. „Tak się nażar, że mało nie pynk, a nie znać po niem“. Już co prawda, to prawda, istotnie nie było znać.

Prócz tego do dwuch pni sosnowych uwiązane były za nogę dwie kury, otoczone mrowiem swych puchatych piskląt. Tym kurczętom dzioby się nie zamykały. Każde co chwila mówiło: *pia, pia*, a ponieważ ich było bardzo dużo, więc ani na chwileczkę nie mogło się zrobić cicho. Kwoki starały się chodzić za dziećmi na długość sznurka i naturalnie trochę okręcały się koło sosny. Aż wreszcie leżały obie z wyciągniętą wtył nogą i dziobem otwartym z gorąca i smutku. Tylko czasami pogdakiwały na małe, które się rozłaziły i naturalnie ani myślały słuchać. Bo żadna matka w takiej głupiej pozycyi nie zachowałaby powagi wobec swych dzieci, a cóż dopiero zwyczajna kura.

Dwa razy na dzień pani Dziobakowa przychodziła i odkręcała kury, ale one bardzo prędko zakręcały się nanowo. Trochę w tem było i ich winy, bo przecież mogły uważać. A puścić ich pani Dziobakowa nie mogła, bo kury drapią i ani jednego kwiatka w ogrodzie nie zostawią.

Było jeszcze prosię, również na sznurku za tylną nogę do kołka uwiązane. W nosie różowym miało drut, skręcony tak, by je kłuł, gdyby zechciało pyskać. Takiego prosiaka jakby nie odrutować, toby wszystko spyskał.—Gdy go było podrapać patykiem pod gardłem albo koło ucha, to zaraz się kładł na ziemi i trochę pysk otwierał. Miał też bardzo zabawny ogonek. Ale ponieważ pewien sławny polityk powiedział o mnie złośliwie, że ja opisuję, ile razy

świnia ma zakręcony ogonek i w którą stronę, więc już nie będę opisywała tego ogonka. Ogólnie tylko zaznaczę, że gospodarstwo pani Dziobakowej zorganizowane było na dobrze pojętych zasadach ładu i ekonomii.

D. c. n.

LEONIA GRABSKA.

SPĘTANI

POWIEŚĆ.

(CIĄG DALSZY).

— Nie zdaje mi się—odrzekł po chwili — wtedy Nina miała zupełną nieświadomość dziecka, nie obchodził ją ani flirt, ani zabawy tak ulubione przez młode panny. Matka jej mówiła mi, że to przeciążenie umysłową pracą, oraz oddanie się muzyce tak zupełnie absorbuje Ninę. Ale to było już kilka lat temu, kuzynko, kto wie, czy potem nie poznała kogo; słyszałem tylko, że po moim wyjeździe ciężko chorowała, wróciwszy po dłuższym pobycie na wsi.

— A ona sama o czem z tobą najchętniej rozmawiała?

— Ona, o wszystkiem i o niczem. Jeżeli mam być szczerym, Iziu, to wyznam Ci, że byłem jej najzupełniej obojętny, mimo komplementów, któremi ją zasypywałem i niejednego czulszego spojrzenia.

Pani Iza uśmiechała się trochę smutnie,— ach ci mężczyźni — myślała patrząc z pod rzęs na jasną czupryne i dobre oczy młodego chłopca—przysięgają, kochają, cierpią niby, a nic im to nie przeszkadza zalecać się do coraz to innych... I on ten jej pseudo kuzyn, od sześciu lat prześladuje ją swą wierną miłością, smutną i beznadziejną, jak szare dni jesienne. Nieraz nawet zdjęta litością miała dla niego żywe współczucie i słowa prawdziwie serdeczne, siostrzane, ale nic więcej. A jednak i on miał czas zapominać, i jak sam opowiada czułemi spojrzeniami obrzucać panienki. Cóż w tem zresztą było dziwnego, chłopiec ładny i młody, Paryż wesoły i gwarny, a Nina,—przecież dawniej sama zachęcała go, by zajął się tem uroczem stworzeniem, i zapomniał o śnie, który się ziścić nie może. Czyż byłaby niekonsekwentną lub może zazdrosną? Pani Iza drgnęła lekko i uśmiechnęła się. Jakże może być mowa o zazdrości tam, gdzie ani źdźbła miłości niema?

Otrząsając się z tych myśli pani Iza zapytała. — I nie starałeś się zdobyć tego upartego serduszka? O ile wiem Dora bardzo cię lubiła.

— Ależ droga kuzynko, jakże tu było łączyć biedę z nędzą? Ślicznie by mi za to Nina podziękowała, ona cała zajęta muzyką, a ja myślą tak daleki od małżeństwa, i niesklonny do żadnego uczucia.

— Ty jedna wiesz, tak, nie przerywaj mi, ty jedna wiesz, że od sześciu lat, noszę tylko jeden obraz w sercu, i mimo, że z siebie drwię, że uciekam z tych miejsc, wiedząc, że niedorzecznością jest gonić złudę niedoścignioną, mimo to wracam tu z każdą wiosną, jak te ptaki wędrowne, nie mogąc zerwać z tem, co mnie z życiem wiąże, silniej niż może sama przypuszczasz. Proszę cię, nie odchodź, nic więcej ci nie powiem, bo i pocóż, nie lubisz tragedyi, prawda? ja także, i ręczę ci, że niema na świecie weselszego chłopca odemnie. — Nawet Nina potwierdzi to z pewnością.

Po chwili, podczas gdy malarz ze spokojem zapalał papierosa, jakgdyby nic nie zaszło między niemi, pani Iza powstała i wolno zeszła po kamiennych stopniach tarasu, aż do brzegów rzeczki. Łódka maleńka kołysała się na wodzie, zapraszając jakby do przejażdżki. A dzień chylił się ku końcowi, promienie słońca różowe przeciskały się przez gąszcza krzewów, padając jasną smugą na białą suknię pani Izy. Stojąc tak chwilę nad rzeczką, cała oblana tem nieziemskiem światłem, zdawała się być rusałką tych wód, która wyszedłszy z objęcia fal, przegląda się w lustrzanej szybie, odbijającej jej cudną twarz.

Naraz uczuła jak z góry sypie się na nią deszcz prawdziwy kwiatów. Pani Iza wydała okrzyk radości:

— Nenufary, moje śliczne białe lilijki wodne, zakwitły już i gdzie? — obejrzała się, szukając oczyma sprawcy tej niespodzianki.

Na najwyższym stopniu tarasu stał Zygmunt Olszanowski. W ręku trzymał jeszcze ostatni pęk białych kwiatów, a na ładnych ustach jego igrał uśmiech trochę marzycielski, gdy mówił.

— Jakże ci do twarzy w tej ozdobie, to dla ciebie rwaliśmy te lilie z panną Niną, nie wiedziała, że to twój ulubiony kwiat, a teraz wyglądasz jak najada oplątana węzłami wodnej rośliny.

Drobne paluszki pani Izy, wpinając białe kielichy w sploty warkoczy, opadły jakby zmęczone. Jednak uśmiech zdobił spokojne jej rysy, i witając męża zarzuciła go pytaniami o Jerzego i Ninę, nie dając poznać, że zdziwiła ją wspólna wycieczka młodych, w której ona nie wzięła udziału.

— A ty Iziu? szukałem cię, ale podobno flirtowałaś z kuzynkiem, — tu roześmiał się wesoło, — i nie słyszałaś mego wołania. Zresztą lepiej—dodał zdejmując z czoła kapelusz o szerokich brzegach — upał dziś nieznośny, a zresztą... inaczej nie miałabyś niespodzianki.

Usiadł na kamiennych stopniach tarasu, opierając głowę łagodnym, miękkim ruchem o balustradę. Bujne, ciemne włosy opadły na wysokie czoło, oczy zapatrzone w dal miały w sobie blaski słonecznych promieni, a na ustach osiadł zwykły mu, trochę drwiący uśmiech.

Zamyślony, nie widział, jak spojrzenie żony pieszczotliwie spoczęło na jego głowie. A może tylko nie umiał czytać w tych słodkich oczach, może nie odczuwał uroku tej cichej, tajemniczej mowy. Zrozumiałby wtedy może, że milszą nad świeże pąki kwiatów, była dla niej obecność ukochanego, i ta rozmowa we dwoje.

Powoli Zygmunt odrywał listek po listku z białego kielicha lilii i rzucał je daleko przed siebie. Tęskne spojrzenie kobiety goniło śnieżne płatki, a lekka zmarszczka zarysowała się między jej brwiami i pierś podnosiła się szybko. Jakieś tchnienie miłości przeleciało między krzewami jaśminów i akacyi, roznosząc wkoło upajający, mocny zapach.

— Jakiż cudny czerwiec w tym roku, te ciepłe noce, zapach kwiatów, doprawdy to rozmarza, mówił do żony Zygmunt, przesuwając rękę po czole, — i powiedz tylko, czy to nie dziwne, słowiki od tygodnia umilkły a byłbym przysiągł dziś rano przechodząc pod oknami Niny, że z wysokiej starej lipy doszedł mnie wyraźnie trel słowika. Taki czysty i dźwięczny, czyżby rzeczywiście jeden słowik pozostał, żeby zrobić przyjemność twojej małej przyjaciółce?—zapytał z uśmiechem.

Za całą odpowiedź tuż za plecami młodej pary, rozległ się cichy trel słowika.

Śpiew drgał tęsknie, zawodził, łkał, aż urwał się nagle, a z za drzewek laurowych, otaczających brzeg tarasu wysunęła się złota główka Niny. Młoda dziewczyna przypadła do kolan przyjaciółki i rozweselona opowiadała, jak posłyszawszy ich romowę o słowiku spóźnionym, postanowiła przekonać przyjaciół, co to za ptak śpiewa na starej lipie pod jej oknem.

(D. c. n.).

Kronika działalności kobiecej.

Zrzeszenie świetlic.

Zakładanie świetlic dla młodzieży szkolnej i dla robotników, pozbawionych światła i ciepła, jest dziś sprawą nader ważną, która poczyna interesować coraz szersze warstwy naszego społeczeństwa.

Chcąc otwieranie świetlic jaknajrychlej w czyn wprowadzić, pp. Marya Olszewska, d-rowa Jadwiga Pawińska i Elwira Cybulska założyły „Zrzeszenie świetlic", pozostające pod opieką dobro-

czynnego wydziału magistratu m. stoł. Warszawy, i złożyły w d. 6 z. m. ustawę do legalizacyi prezydyum policyi niemieckiej. Zażądano jednak zmian w ustawie, która w ostatecznej formie złożona była d. 22 z. m. Z powodu wzmianki w ustawie o opiece wydziału dobroczynnego magistratu, prezydyum policyi zwróciło ustawę przed zatwierdzeniem do tegoż magistratu d. 29 z. m. za nr. 5458 dla wydania opinii.

Upłynęło kilka tygodni, a naczelnik wydziału dobroczynnego nie otrzymał, ani ustawy, ani żadnego o niej zawiadomienia.

A świetlice czekają na legalizacyę.

Zarząd Zrzeszenia świetlic stanowią pp.: Marya Olszewska (przewodnicząca zarządu i sekcyi robotniczej), d-rowa Jadwiga Pawińska (przewodnicząca sekcyi szkolnej), dokt. Budzińska-Tylicka, Elwira Cybulska, Ela Szeligowska, Kazimiera Domaradzka (skarbniczka), Jadwiga Kowalewska (z Woli), Jadwiga Turowiczówna i Emilia Trombini.

Biuro Zrzeszenia świetlic mieści się przy ul. Żórawiej nr. 21 w mieszkaniu p. M. Olszewskiej jest codziennie od godz. 4—5 po poł., z wyjątkiem niedziel i świąt.

Ze Związku stowarzyszeń polskich.

Odbyło się w siedzibie Stow. kobiet, pracujących w przemyśle, handlu i biurowości, walne zgromadzenie delegatów stowarzyszeń, należących do Związku stowarzyszeń polskich.

Po zagajeniu zebrania przez prezesa Związku, p. Stanisława Bobińskiego, zaproszono na przewodniczącego obradom dr. Edmunda Jana Reymana, oraz na trzymającą pióro p. Stanisławę Hannównę.

Po odczytaniu przez p. Hannównę protokółu z poprzedniego zebrania delegatów, prezes zarządu, p. Stanisław Bobiński, zdawał sprawę z działalności Związku za ubiegły okres. Działalność ta nie była tak owocna, jakby się należało spodziewać, z powodu nie dość żywego interesowania się sprawami Związku ze strony należących do niego stowarzyszeń. Należy jednak zaznaczyć pracę sekcyi społeczno-prawnej, która, z inicyatywy p. Heleny Weychertówny i dr. Stanisława Jana Kijewskiego, opracowała ankietę, mającą na celu zdobycie możliwie wszechstronnego oświetlenia naszych stowarzyszeń społeczno-kulturalnych. Doniosła również w skutkach może być działalność sekcyi sportowej, która, z inicyatywy p. Witolda Żukowskiego, zajmie się opracowaniem projektu, mającego na celu zjednoczenie usiłowań wszystkich stowarzyszeń sportowych w kierunku zapewnienia członkom możności korzystania ze sportów w najszerszym zakresie, przy możliwie zredukowanych kosztach.

W dyskusyi nad sprawozdaniem zabierali głos pp.: Lucyna Kotarbińska, Kazimiera Neronowiczowa, Feliks Górski, Witold Żukowski i inni.

P. Stanisław Bobiński, oznajmił w imieniu zarządu, że cały zarząd składa mandaty, ażeby dać możność wejścia do zarządu innym osobom, rozporządzającym czasem i pragnącym dla Związku pracować. Uproszono jednak zarząd dotychczasowy o zatrzymanie mandatów jeszcze na pewien czas; w celu zaś dokompletowania zarządu wybrano p.p.. dr. Stanisława Jana Kijewskiego, Kazimierę Neronowiczową i dr. Edmunda Jana Reymana.

Zadaniem zarządu będzie rozwinięcie akcyi wśród instytucyi społeczno-kulturalnych w celu zjednania ich dla związku, do którego należy obecnie 14 stowarzyszeń, oraz nakreślenie planu dalszej działalności.

Sprawozdanie zarządu, jak również sprawozdanie rachunkowe zatwierdzono.

W Stow. ochroniarek.

Zebraniu w Stow. ochroniarek przewodniczyła p. Lucyna Gosławska.

Obradowano nad oddawna już powziętą przez zarząd myślą starania się o utworzenie kursów uzupełniających. Teraz sprawa ta staje się tem pilniejszą wobec otrzymanego od dr. Radziwiłłowiczowej zawiadomienia, że sprawa polepszenia bytu materyalnego ochroniarek zależna jest od ujednostajnienia ich cenzusu. Wślad więc za memoryałem o podwyższenie etatów zwróci się Stowarzyszenie do władz miejskich ze staraniami o kursa uzupełniające, podzielone na grupy, począwszy od 2-ch klas. Wreszcie przewodnicząca zawiadomiła zebranie o nowej siedzibie Stowarzyszenia przy ul. Hożej Nr. 64, m. 27, której poświęcenie odbyć się miało w niedzielę, 20-go b. m.

Hojne zapisy.

W dniu 10-ym b. m. zmarła w Piotrkowie w 84-ym roku życia Tekla Strzyżowska, wdowa po zmarłym niedawno dr. Antonim Strzyżowskim.

Piotrkowski „Dziennik Narodowy“ dowiaduje się, że ś. p. Strzyżowska poczyniła hojne zapisy na cele użyteczności publicznej, a mianowicie: cały swój majątek, wynoszący z górą 600,000 rb., oraz należącą do niej połowę kamienicy zapisała na urządzenie i utrzymanie schroniska dla inwalidów i żołnierzy polskich, z pierwszeństwem dla legjonistów.

Prócz tego 1000 rb. w złocie oraz kosztowności zmarła przekazała skarbowi państwa polskiego.

Sprostowanie.

W № 2 „Bluszczu“ w wierszu B. Z. Lubicza „Na progu“ w wierszu 26-ym od góry powinno być **truny**— zamiast trumny.

TREŚĆ NUMERU:

OGŁOSZENIA.

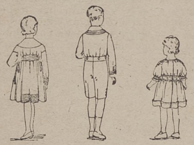
Redaktorka i Wydawczyni: **Zofia Seidlerowa.** Druk J. Świętoński i S-ka, Warszawa, Kopernika 34.

Za pozwoleniem cenzury niemieckiej.

NASZA POGAWĘDKA.

Napróżno byłoby dziś szukać nowych wzorów w dziedzinie mody, o których tygodniowa pogawędka miałaby co do opowiedzenia. Raz poruszony temat—wyczerpuje się doszczętnie odrazu, bo szczupłe są jego ramy i nikła treść.

Minęły niezapomniane chwile, kiedy z tygodnia na tydzień nowinki sypały się jak z rogu obfitości—a pogawędka nie mogła ich pomieścić. Dzisiaj—jeden temat obrabia się sto razy, oświetla z różnego punktu widzenia — estetyki, artyzmu, praktyczności — i powraca się doń *da capo*—dopóki jakiś inny pomysł nie zrobi mu konkurencyi.



Szkic 6. Szkic 5. Szkic 2.



№ 1. **Okrycie z pelerynką dla dziecka od 2—6 lat.** (Szkic № 1). Forma na zamówienie w administracyi Bluszczu.

№ 2. **Sukienka w formie bluzy, przybrana łatwym haftem dla dziewczynki od 3—7 lat.** (Szkic 2). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

№ 3. **Sukienka z materyału w kratę dla dziewczynki od 4—8 lat.** (Szkic № 3). Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.



Szkic 3. Szkic 4. Szkic 1.

O dzisiejszej modzie powiedzieć można: że „wszystko to już było". Wszystko to są reminiscencye, waryacye i nowe opracowania.

Źródła mody wyschnięte, na dnie których zaledwie połyskuje migotliwa fala, w której dawniej przeglądały się modnisie — nie dostarczają dziś żadnych nowości—a te, które się od czasu do czasu pojawiają, muszą wystarczyć na cały sezon.

I tak już od letniego sezonu poczęła się moda draperyi, tunik, podpięć—oglądana jeszcze dawniej—a rozkwitająca dziś dopiero w całej pełni.

Obdarzone łaską mody pozostały nadal spódnice umiarkowanie szerokie, — a zawsze zachowujące estetyczną linię. Przy nich spotyka się spódniczki wązkie i drapowane. Te ostatnie — przeważnie z materyałów lekkich — są dość różnorodne. Najczęściej drapuje się spódniczkę na biodrach — a to w najrozmaitszy sposób. Jedne z nich—z prostym, bocznym brytem, jakby nie przyszytym, a wpuszczonym wewnątrz, drugie ułożone w głębokie fale, obcisłe u dołu—trzecie znów z draperyami fantazyjnemi na wysokości kolan—a prócz nich modne spódniczki — składające się jakby z dwóch — wierzchniej i spodniej. Ta ostatnia gładka lub ułożona w fałdy, pokryta wierzchnią, przykryta przednim i tylnym brytem, z wyciętemi, odstającemi bokami, w których kryją się kieszenie—robi czasem wrażenie czegoś niewykończonego — a może raczej... odprutego.

Za modą dłuższych kostyumowych paltotów, o których pisałam poprzednio, idzie moda tunik. Tuniki te, przeróżnych fasonów, opadają na wązkie spódniczki—same szerokie, marszczone, fałdowane, drapowane w najbardziej fantazyjny sposób — długie, krótsze, podpięte z jednego boku, poddarte z przodu—zostawiające zupełną swobodę w zastosowaniu i doborze materyałów.

Ważną—a bolesną kwestyą nietyle mody—ile konieczności życiowej są dzisiaj buciki. Niebywałe wprost ceny obuwia choćby najskromniejszego — odbijają się dotkliwie na naszym budżecie. Tu fantazya niewiele pomódz może. Zelówki, łatki i łateczki wreszcie podrzeć się muszą—żadne sztukowanie nie da rady i — katastrofa nieunikniona.

Chwile obecne obfitują w różne przykre kontrasty a więc i w tym wypadku bez nich się nie obeszło. Oto—zbytek w modzie obuwia przechodzi — dozwolone jak na obecne czasy—granice. Wyszukane materyały, malowane skóry, strojne ozdoby—z których sporządzone — i któremi ozdobione jest lekkie obuwie — wykwintne, głęboko wycięte pantofelki w wystawach sklepowych i na nóżkach modnisi rażą swym przepychem i kosztownością. Przy wieczorowych sukniach zawsze pozostaje modny czarny atłasowy czy prunelowy pantofelek — ale ponieważ ten — lubiącym się stroić i niefrasobliwym osóbkom nie wystarcza — a obuwia z kolorowych skór i materyi, harmonizującego bez zarzutu z kolorem wieczorowej sukni—nie zawsze znaleźć można — więc modnisie wpadły na pomysł malowania pantofelków z brokateli, zastosowując farbę do ogólnego tonu sukni i pokrywając nią wzór brokateli.

Marianne.



№ 4. **Sukienka z dwóch materyałów w formie bluzy, dla dziewczynki od 8-10 lat.** (Szkic № 4). Forma na zam. w adm. Bluszczu.



№ 5. **Ubranie z bluzką, wszytą w karczek, dla chłopca od 8—10 lat.** (Szkic № 5). Forma na zam. w adm. Bluszczu.



№ 6. **Sukienka w formie bluzy, przybrana taśmą.** (Szkic № 6). Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.

Wzory Ubiorów i Robót do № 4.

№ 1. **Okrycie z pelerynką dla dziecka od 2—6 lat.** (Szkic 10). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Bardzo zręczne i praktyczne okrycie dla kilkoletniego dziecka daje się sporządzić z ciepłego, grubego materyału, z welwetu lub sukna. Wykonane na miękkiem podłożeniu z wateliny i na flanelowej podszewce, zapięte na dwa rzędy rogowych (w kolorze materyału) guzików, jest ciepłe i wygodne. Mankietki i pelerynkowy kołnierz objęte pliską z pluszu w kolorze materyału. Na bokach przystebnowane duże kieszonki. Patki spinają plecy na wysokości przyszytej baskiny.

Potrzeba: $1^1/_2$ mtr. materyału podw. szer., $1^1/_4$ mtr. flaneli na podszewkę, $^3/_4$ mtr. pluszowej pliski 2 ctm. szer.

№ 2. **Sukienka w formie bluzy, przybrana łatwym haftem, od dziewczynki od 3—7 lat.** (Szkic № 2). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Sukienkę z ponsowej flanelki lub innego wełnianego materyału ślicznie przybiera haft, wykonany kolorową wełną, ciągnący się przez ramionka wzdłuż rękawów i w części okalający wycięcie szyi. Odpowiednio do haftu szydełkiem obdzierganе są kółka, naszyte na zmarszczeniu spódniczki, zastępującem pasek. Zmarszczenie na sznureczki. Zmarszczenie przy szyi ujęte w pliskę. Obrąb u dołu sukienki odłożony na prawą stronę, przymocowany stebnówką lub ozdobnemi ściegami.

Potrzeba: $1^1/_2$ mtr. materyału, mniejszej podwójnej szerokości.

№ 3. **Sukienka z materyału w kratę dla dziewczynki od 4-8 lat.** (Szkic № 3). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

Bardzo praktyczną sukienkę z materyału w kratę można sporządzić z noszonej sukni. Sztukowanie materyałem w kratę jest najłatwiejsze. Nadto sukienkę zeszyć można pod paskiem, a fałdy z boku nałożyć z osobnych kawałków. Biały kołnierz do prania, obdziergany kolorową bawełną, ożywia sukienkę. Motywy z jedwabnego sznura, w odpowiednim kolorze, zdobią górę sukienki.

Potrzeba: 2 mtr. materyału mniejszej podw. szer., $^1/_2$ metra jedwabnego sznura.

№ 4. **Sukienka z dwóch materyałów, w formie bluzy, dla dziewczynki od 8—10 lat.** (Forma na zamów. w adm. Bluszczu).

Sukienka z wełnianego lub półwełnianego materyału, doskonale nadaje się do przeróbek. Przód i tył ujęte są po bokach w grupy fałd, przytrzymane u góry szerokiem ramieniem w rodzaju karczka z odrębnego materyału w kratę, dobranego tonem do koloru sukienki. Z tegoż materyału sporządzone są plisy na dole między fałdami, oraz mankieciki bufiastych rękawków. Na te mankieciki wyłożone są drugie z gładkiego materyału, które równie jak kołnierzyk zastąpić można płótnem lub batystem. Pasek, przytrzymujący sukienkę, skórzany lub z materyału sukienki. Materyał w kratkę można równie dobrze zastąpić aksamitem.

Potrzeba: 5.15 metra mat. gładkiego, 60 cent. w kratę po 100 cent. szer.



№ 7—11. **Ciepłe, praktyczne okrywki.** (Formy na zam. w adm. Bluszczu.)

№ 5. **Ubranie z bluzką, wszytą w karczek, dla chłopca od 8 — 10 lat.** (Szkic № 5). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

Kołnierzyk, wkład i mankiety z białego rypsu, naszyte tasiemeczką i przypięte do bluzki, ożywiają ubranie z granatowej wełny. Bluzka wykończona z kołnierzykiem z materyału. Drobne zakładki zdobią przód ujęty w nastebnowany karczek. Rękawy w dole ujęte w kontrafałdki. Zapięcie z przodu kryte na guziczki. Bluzka ujęta w pasek z guzikami, na które przypięte są gładkie, proste, wykończone z kieszonkami majteczki.

Potrzeba: $1^1/_2$ metra mat. 130 cent. szer.

№ 6. **Sukienka w formie bluzy, przybrana taśmą.** (Szkic № 6). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Czarna, lśniąca taśma zdobi sukienkę z ponsowej wełny, obejmując dół przodu i tyłu ułożonych w kontrafałdy, ujęte w stanie, z przodu i z tyłu, patkami z węższej taśmy, zakończonej podwójnym, przewiązanym sznurem. Mankieciki naszyte taśmą, kołnierzyk wykładany z batystu.

Potrzeba: $1^2/_3$ metra mat. 1.10 cent. szer.

№ 7—11. **Ciepłe, praktyczne okrywki.** (Formy na zam. w adm. Bluszczu).

Ciepłe okrywki, łatwym krojem, sporządzone z flaneli a także barchanu lub wełnianych i jedwabnych materyałów na watelinie, lekkiej wacie i t. p., na co wykorzystać można różne resztki, oddają dziś ogromne usługi. Okrywka taka, nałożona na lekką bluzeczkę lub pod jesienne palto, doskonale zastępuje ciepłe ubranie.

№ 7. (Przód i tył). Z ciepłego, wzorzystego materyału sporządzona **okrywka** w formie chusteczki, skrzyżowana jest na przodzie i zapięta po bokach tyłu na guziczki.

№ 8. **Okrywka**, przerobiona z bluzki, z baskiną, wykończona dzierganiem i guzicz.

№ 9. (Przód i tył). **Okrywka** z jasnej flaneli, skrzyżowana i przewleczona na przodzie, wykończona dzierganiem.

№ 10. (Przód i tył). Brzegi **okrywki** z rękawami wykończa obszycie z kolorowej, jedwabnej materyi.

№ 11. **Okrywka**, która równie dobrze może być wykończona bez rękawków, ułożona jest na przodzie w zebrane fałdki i spięta na klamerkę.

№ 12. **Suknia wizytowa z gazową bluzką.** (Szkic № 3). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

Spódnica z materyi w niebieskawo-popielatym kolorze. Krój najnowszy, z przodu i z tyłu bryty gładkie, proste, połączone u dołu gładkiemi bokami, do których przyszyte są przymarszczone boki, pozornie przymocowane guzikami.

Bluzka z gazy w tym samym kolorze, z baskiną na bokach, ściętą w zęby, wykończona na podszewce z różowej materyi w kwiaty. Rękawy półdługie, zakończone przemarszczeniem, falbanką i klapką z materyi. Kołnierzyk z materyi w formie chusteczki, zakończony pomponikami. Wązki



№ 12. **Suknia wizytowa z gazową bluzką.** (Szkic № 12). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

№ 13. **Bluzka z baskiną zamiast matinki.** (Szkic № 13). Forma na zamówienie w administracyi Bluszczu.

№ 14. **Suknia z bluzką, odpowiednia też dla osoby starszej.** (Szkic 14). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

pasek z materyi, podwójnie obejmujący stan, przewiązany z przodu, też zakończają pomponiki.

Potrzeba: $4^{1}/_{2}$ mtr. materyi 100 ctm. szerokiej, 2 mtr. gazy, $1^{1}/_{4}$ mtr. materyi na podszewkę.

№ 13. **Bluzka z baskiną, zamiast matinki.** (Szkic № 13). Forma na zamówienie w adm. Bluszczu.

Bluzkę z różowego woalu przybierają: czarna szarfa, mereszka i dzierganie czarnym jedwabiem. Bluzka zapięta z tyłu, ułożona w grupę drobnych zakładeczek. Szarfa, przewleczona przez nacięcia przy grupach zakładek, obdziergana jedwabiem czarnym. Zamiast kołnierza obdziergana falbanka,—podwójne mankiety też zakończone dzierganiem.

Potrzeba: dwa metry woalu podwójnej szerokości.



№ 15. **Skromna bluzka z materyału w kratę.** (Szkic 15). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

№ 14. **Suknia z bluzką, odpowiednia też dla osoby starszej.** (Szkic № 14). Forma na zam. w administr. Bluszczu.

Spódnica z grubego materyału dyagonal., bluzka z crepe de Chine'u. Spódnica z przodu i z tyłu ułożona w fałdy. Boki gładkie, od góry przytrzymane szeregiem guzików. Spódnica przyszyta do gorsecika, w części zakryte. go paskiem, zapiętym z przodu na klamerkę.

Bluzka, zmarszczona do koła, z tyłu zapięta. Rękawy koszulowe, zmarszczone przy ręku. Zamiast kołnierzyka stojąca od przemarszczenia główka. Bluzkę zdobi haft kolorowy na ramionach.

Potrzeba: $3^{1}/_{2}$ mtr. materyału podw. szer. na spódnicę, $2^{1}/_{4}$ metra materyi podwójnej szerok. na bluzkę.



№ 16—17. **Kołnierzyk i mankieciki, zdobne lekkim haftem.** (Wzór na zam. w adm. Bluszczu).



№ 18. **Skromna bluzka z odrębnem przybraniem.** (Szkic 18). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

№ 15. **Skromna bluzka z materyału w kratę.** (Szkic № 15). Forma na zamówienie w admin. Bluszczu.

Skromna bluzka łatwym, prostym krojem sporządzona jest z grubej wełny w kratę szaro-bronzową. Karczek, łączący przody z tyłem, wykończony jest wypustką z bronzowej materyi, która wykończa także mankiety. Z bronzowej materyi sporządzona jest również krawatka. (Do spódnicy patrz opis ryc. 10 w № 2).

Potrzeba: $1^{1}/_{2}$ metra mat. 110 cent. szer.

№ 16 — 17. **Kołnierzyk i mankieciki, zdobne lekkim haftem.** (Wzór na zam. w adm. Bluszczu).

№ 18. **Skromna bluzka z odrębnem przybraniem.** (Szkic № 18). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

Gładka, zręczna bluzka z szarego Crêpe de Chine'u przybrana jest materyą niebieską, z której sporządzony jest od wyłogów odszyty kołnierz i obszycie mankietków. Zmarszczone przody i tył złączone są gładkiem ramieniem. Z przodu zapięcie na gładkie guziczki.

Potrzeba: $1^{1}/_{2}$ metra szarej materyi 110 cent. szer., $^{1}/_{4}$ metra mat. niebieskiej 50 cent. szer.

№ 19. **Suknia oryginalnym, luźnym krojem z dwóch materyałów.** (Szkic № 19). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Suknia luźnym krojem sporządzona jest z gładkiego, granatowego materyału i z materyału w kratę. Z tego ostatniego sporządzona jest dolna część spódnicy oraz bluzka z rękawami, ujęta w rodzaj kamizelki z paskiem z materyału gładkiego, nastebnowanej lub kryto naszytej. Na przodzie bluzka spięta na przewleczenie z wstążki lub sznura. Spódnica przyszyta do staniczka z podszewki. Przybrania dopełnia batystowy kołnierz.

Potrzeba: $2^{1}/_{4}$ metra materyału gładkiego, $2^{1}/_{4}$ mtr. mat. w kraty po 110 cent. szer.

№ 20—21. **Saszetki do serwet, przybrane haftem Richelieu.** (Wzory na zamów. w adm. Bluszczu).

№ 22—24. **Serwetki zdobne łatwym, płaskim, kolorowym haftem.** (Wzór fig. 50, 51, 99 na tablicy do № 51 -52 r. z.)

№ 25. **Strojna poduszka, zdobna bogatym haftem Richelieu.** (Motyw z róż). (Wzór na zam w adm. Bluszczu.)



№ 19. **Suknia oryginalnym, luźnym krojem z dwóch materyałów.** (Szkic № 19). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Poradnik gospodarski.

O naczyniach do hodowli pokojowej.

Najlepsze naczynia do roślin w hodowli pokojowej są z gliny niepolewanej z wyglądu czerwone jak cegły. Są one porowate dla powietrza i ciepła, co stanowi główny warunek dobrego rozwoju dla roślin o ile ziemia jest żyzna, pulchna i wilgotna. Lecz te doniczki trzeba wstawiać w wazoniki z porcelany, gliny malowanej, szkła zabarwionego, skąd wyglądają pięknie. Takie wazony z wstawionemi doniczkami można postawić na stole przy obiedzie i wszędzie tam, gdzie chcemy upiększyć miejsce i zebranie się kilku osób. Lecz próżne miejsce między wazonikiem a doniczką, żeby się ona nie ruszała, trzeba wysłać mchem, do którego wsiąka woda, wyciekająca przez dziurkę w spodzie doniczki, przy podlewaniu roślin. Prócz doniczek dwa razy wyższych niż szerokich można mieć doniczki jak miski szerokie, a nie wysokie, gdy hodujemy rośliny ścielące się, które zawieszamy u góry okna, a one po drucianej siatce lub sznurkach, rozłożonych od góry na dół, spadają po bokach okna.

Również można na oknie po bokach ścian mieć gliniane lub drewniane skrzyneczki z roślinami pnącemi po drutach, sznurkach lub drabince zrobionej z gładkich palików z drzewa. Każda doniczka winna mieć glinianą podstawkę na biało polewaną, żeby wyciekającej z doniczki wody nie przepuszczała na blat okna i ta woda nie zlewała ścian a zatem nie niszczyła mieszkania. Woda z podstawek winna być zlewana codziennie, o ile nie wyschnie, bo paro-





Szkic 12. Szkic 13. Szkic 14.





Szkic 15. Szkic 19. Szkic 18.

wanie tej wody zwiększa wilgoć dookoła roślin. Na podstawce winien być piasek gruboziarnisty, żeby między doniczką a podstawką było powietrze, a przytem lepszy wyciek wody z dziurki na spodzie doniczki. Można też doniczki trzymać w wazonikach mchem wysłanych, bo mech wyciekającą wodę z doniczki pochłania i wyparowywa.

O przesadzaniu roślin.

Korzenie roślin wychowanych w doniczkach po roku lub dwóch latach tak się rozrastają, że roślina słabnie we wzroście mimo polewania wodą nawozową. Wtedy trzeba odświeżyć ziemię. U większości roślin korzenie przyciąć lub oskrobać ze splotów, które jakby siatką otaczają bryłkę korzeniową. W tym celu, żeby poznać o ile dana roślina wymaga przesadzenia, przechylamy doniczkę dnem do góry, uderzając brzegami doniczki o róg stołu lub okna, przyczem łodygę bierzemy między palce, a cała roślina pozostaje nam w dłoni.

O ile bryła korzenia jest pokryta splotem drobnych korzonków jakby siatką, o tyle cała roślina wymaga przesadzenia. Wtedy patyczkiem odrywamy tę siatkę splecionych korzonków, oskubujemy grudki ziemi i sadzimy na nowo w doniczkę cokolwiek większą od poprzedniej. Na spód dla odsączenia ziemi z wody nad dziurką doniczki kładziemy skorupkę i gruboziarnisty piasek, potem cokolwiek ziemi i wkładamy roślinkę, tak, żeby brzegi bryłki korzeniowej były cokolwiek niżej niż poziom doniczki. Wówczas brzegi obsypujemy właściwą ziemią, kupioną w zakładach ogrodniczych. Tę ziemię upychamy kołeczkiem dokoła bryłki korzeniowej, potem obficie roślinkę podlewamy i przesadzanie ukończone.

Najlepszą porą do przesadzania jest wiosna, to jest ta chwila, kiedy cały świat roślinny budzi się ze snu zimowego.

Kto chce zyskać wprawę i umiejętność przesadzania powinien tej robocie przyjrzeć się w zakładach ogrodniczych, lub raz sprowadzić ogrodnika do domu, żeby zaznajomić się ze sposobami przesadzania posiadanych roślin, albo tę robotę co kilka lat powierzyć specyaliście ogrodnikowi, żeby od niewłaściwego przesadzenia nie chorowały.

Jak wywabić tłuste plamy z książek?

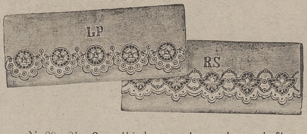
Należy zmieszać paloną magnezyę z benzyną, dopóki nie zrobi się z tego krupkowata masa. Miejsca powalane natrzeć ostrożnie tą masą, strzepnąć później okruchy magnezyi. Świeże plamy giną natychmiast, dawne po dwu lub trzykrotnem nacieraniu.

Doskonały sposób mycia butelek po tłuszczach.

Nasypać do butelki drobno podartej bibuły, nalać na to gorącej wody i potrząsać, aż z bibuły zrobi się gęsta masa. Jeżeliby został jeszcze ślad tłuszczu, powtórzyć to jeszcze po raz drugi, a potem wypłókać zwykłą zimną wodą.

PRZEPISY KUCHENNE.

Bardzo zdrowa i pożywna kawa z pęczaku. W obecnej porze ciągłych braków, drożyzny i konieczności zastępowania jednych produktów drugiemi, doskonałą kawę przygotować można z pęczaku. Gruby pęczak (koniecznie gruby) wypłukać doskonale w dobrze ciepłej wodzie i namoczyć na



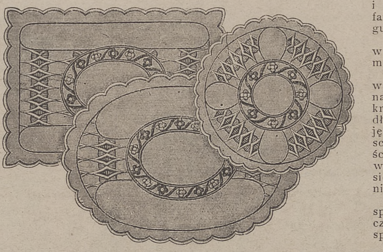
№ 20—21. **Saszetki do serwet, przybrane haftem Richelieu.** (Wzory na zam. w adm. Bluszczu).

noc. Rano odlać wodę, pęczak wytrzeć czystą ściereczką, trochę wysuszyć i upalić, t. j. zrumienić na patelni. Gdy już zupełnie rumiany, brunatny, koloru palonej kawy, bardzo gorący, zdjęty prosto z ognia, posypać trochę miałkim cukrem i dobrze wymieszać, wsypać do słoja i trzymać w suchem miejscu.

Wiele osób utrzymuje, że pęczak smaczniejszy jest od żyta. Do kawy z pęczaku dodać można trochę palonych żołędzi i cykoryi.

Obiady jarskie. Zupa z piwa z grzankami i serem. Marchewka. Opiekanki gryczane na maśle lub słoninie. Borówki.

Marchewka w jarskiej kuchni, gdy jest pora jarzyn, może być podawana ze szparagami, z groszkiem, z kalafiorami, z pomidorami, pieczona i t. d. lecz obecnie w zimie najlepiej w kostkę lub talarki przygotowaną marchew gotować w wodzie osolonej póty, aż w połowie będzie ugotowana, wówczas na wierzch tej marchwi dodać w kostkę lub talarki pokrajanych ziemniaków i gotować aż zmięknie. Wtedy odcedzić, zaprawić masłem podrumienionem z mąką i dodać pietruszki. Marchew z ryżem, o ile kto posiada zapas tegoż, w porze zimowej stanowi również cenną jarzynę, a w ten sposób można różne kasze, w połączeniu z jarzynami gotować. Zwrócić jednak należy uwagę, że wiele gatunków ziaren gotuje się i pęcznieje prędzej niż będzie ugotowana marchew; zatem należy każdy rodzaj oddzielnie przygotować, a potem, jak w przepisie marchewki z kartoflami, łączyć obie potrawy dla dogotowania.



№ 22—24. **Serwetki zdobne łatwym, płaskim, kolorowym haftem.** (Wzór fig. 50, 51, 99 na tablicy do № 51—52 r. z.)

Z powodu zepsucia tablicy kroju (do № 51 i 52-go r. z.), nadeszłej z zagranicy, zamiast do № 4 dodamy ją do № 5-go.

Nowi prenumeratorzy miejscowi otrzymać mogą numery 51 — 52 na żądanie — bezpłatnie. Zamiejscowi za nadesłaniem 30 fen. na przesyłkę. Prosimy uprzejmie zwracać się wprost do adm. „Bluszczu".



№ 25. **Strojna poduszka, zdobna bogatym haftem Richelieu.** (Motyw z róż). (Wzór na zam. w adm. Bluszczu).

Rady praktyczne.

Odświeżanie czarnych koronek.

Czarne koronki, które przez czas utraciły świeżość i barwę, dobrze z kurzu oczyścić i zamoczyć w wodzie, silnie zaprawionej farbką, z dodaniem szczypty rozpuszczonej gumy i paru łyżek salmiaku.

Ilość gumy i salmiaku należy do ilości wody stosować, małą łyżeczkę miałkiej gumy i 3 łyżki salmiaku na kwartę wody.

Koronkę starannie złożoną i zanurzoną w tak przygotowanej wodzie rozpostrzeć należy po wyjęciu z wody na dywanie, przykrytym czystym prześcieradłem lub prześcieradłem i rozpiąć szpilkami. (Koronki po wyjęciu z wody wyżymać nie należy). Po wyschnięciu nabierze koloru i lekkiej sztywności. Koronki czarne piorą się też wybornie w benzynie. Złożone starannie wygniatają się długo w dużej ilości benzyny, a następnie, jak poprzednio, rozpinają wilgotne.

Dla koronek mniej przez czas, niż przez splamienie lub zbrudzenie zniszczonych, czyli nie potrzebujących nabierać barwy, sposób ten jest jeszcze łatwiejszy i lepszy.

ODPOWIEDZI.

P. Janinie L. Cieszymy się bardzo, że przesłane wzory tak się Sz. pani podobały. Pozostałe—zamówiliśmy z zagranicy, gdyż są u nas wyczerpane i gdy tylko nadejdą, prześlemy je Sz. Pani. Szkoła taka, o jaką Szan. Pani zapytuje, w Warszawie nie egzystowała.

P. Br. Kwiatkowskiej. Szan. Pani zechce przeczytać adnotacyę, pomieszczoną w niniejszym numerze—odnośne numery wyślemy.

P. Henryce Roszkowskiej. Numery te widocznie musiały zaginąć na poczcie — wysłaliśmy je powtórnie. Wzór może Sz. Pani jeszcze po raz drugi przeprasować—odbije się lekko. Przekalkować zawsze można. W kwestyi kosmetycznej zechce się Szan. Pani zwrócić do p. D-rowej J. Sadowskiej — pod adresem naszej administracyi—napewno będzie Sz. Pani zadowolona. Co do owego materyału — to doprawdy, wobec szalonej drożyzny, trudno jest dzisiaj radzić. Zdaje nam się jednak, że posiadaną gazę może Sz. Pani doskonale wykorzystać—będzie prześlicznie, a i zestawienie jest bardzo oryginalne. „Marianne" dziękuje za pochwały i zaufanie.

Róży. Dziękujemy za pamięć naszej dawnej, wiernej Czytelniczce. Mimo ciągle nowych trudności—trwamy z wiarą, że to, co się dziś czyni i przechodzi, jest zasiewem na przyszłość. Czy Sz. Pani otrzymała już formy?—wysłaliśmy je natychmiast po zamówieniu. Kwestya gospodarska, o jaką Sz. Pani chodzi, będzie poruszona w najbliższych dodatkach. Pani Marta Norkowska z całą gotowością dzieli się swem doświadczeniem i udziela porad w naszem piśmie. Jesteśmy zawsze na usługi Sz. Czytelniczek — rad najchętniej słuchamy i korzystamy z nich—a za życzliwe słowa przesyłamy serdeczne „Bóg zapłać".